

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 24 czerwca 1911.

JAN KULEZA.

POD MASKĄ.

— Uśmiechnęli się do siebie. —

„Jaka ciekawie sympatyczna twarz“, myślał on.

„Jakie smutne oczy“ — pomyślała ona.

— I przeszli.

On do kawiarni, gdzie przy herbacie pomyśli może o bardzo sympatycznej twarzyczce do niego się uśmiechającej.

— Ona na kursa, gdzie boleć będzie między godziną filozofji a literatury nad jego smutkiem.

— Codziennie się spotykali.

— Codziennie ten sam uśmiech.

— Mroźne było powietrze.

— Brylantowo lśniły się dachy i drzewa szronem okryte.

— Ona w ciepłym, miękkim futerku spieszyła, jak zwykle, na kursa.

— On w lekkim ubraniu, bez płaszcza, wolno stapał w stronę kawiarni.

— A wzrok jego był dziś dziwnie smutny a uśmiech pełen bolesnej rezygnacji.

— Bezwiednie stanęli — on ręką sięgnął po kapelusz — jeszcze jeden krok — i ręce sobie podali.

— Silnie, bez słów.

— I pocóż było słów?

— Tak dobrze się znali i tak dawno, chociaż nigdy słowa do siebie nie powiedzieli.

— Panna we futrze, poeta w wyszarzonym ubraniu szli milcząc obok siebie.

— „Panie Janku — rzekło dziewczę pierwsze — cóż pana dziś tak smutnego spotkało?“

„Jako, pani wie, jak ja się nazywam?“

„Napewno nie wiedziałem — ale intuicyjnie wyczułam, iż się Jankiem zwać mni“.

— To dziwne“.

— „Nie — sądzę, iż nie ma w tem nic dziwnego. Pan jesteś mi bardzo — bardzo sympatycznym. Codziennie dusze nasze przez małą chwilę się spotykały i pozostawiały w sobie na długo wielką tęsknotę. I tak mogłam poznać pana — nie znając go wcale. I kiedy pan raz zmutno uśmiechnięty koło mnie przechodził, z ust mi się wyrwało: „mój biedny Janek“ i wiedziałam odtąd, iż panu Janek na imię“.

„Dziwne to i piękne“, szeptał cicho.

„Tak — to melodia dusz do siebie rozśpiewanych“.

„Ładnie to pani powiedziała“.

— I znowu szli milcząc obok siebie.

— „Pani jest dziwnie pięknym rankiem. Tak mi jakoś dobrze i spokojnie z tobą...“

— „Zapewne pan czuje, iż głaszczę go delikatnie po czuprynie“.

— „Dziękuję pani — za te chwile tak piękne — po których znowu samotnia i smutek“.

— „Chwil tych może pan mieć dużo — dużo“.

— „Aby smutek i samotnia potem tembardziej się odczuć dawały“.

— „Panie Janku — życie ma dla każdego swoje uśmiechy, trzeba je tylko ująć umieć. Kto z tragiczną maską po świecie błądzi, niech nie wini życia“.

— „Głos pani dziwnie melodyjnie — bez końca bym ją słuchał. ...Młoda wiosna o chłodnej jesieni mówi i szron topnieje“.

— „Wie pan — nie pójde już dzisiaj na kursa — chodźmy w Aleje — spojrzę na jego cienkie ubranie — lub nie, lepiej chodźmy do kawiarni“.

— „Tam szedłem, to moje stałe mieszkanie“, uśmiechnął się smutnie.

— Usiedli przy marmurowym stoliku.

— W kawiarni były pustki.

— Powoli popijali herbatę w siebie wpatrzeni.

„Jaka ona ładna“, pomyślał w duchu.

„Jaki on ciekawy“.

„Niech mi pan coś o sobie opowie“.

„Czy to być musi? — Jestem królewiczem z bajki za grzechy swoje w słup lodu zmienionym“.

„Mamże ja gorącym oddechem zimną skorupę roztopić i królewicza wyswobodzić?“

„Ha, spróbuj pani“.

— Uśmiechnęli się figlarnie.

„A zresztą nie mów mi pan nic — niechże to będzie bajką. Pan jesteś królewiczem z bajki, ja zaś córką mieszczańską za panem tęskniącą“.

„Droga ty“.

— Spojrzeli sobie w oczy długo, przeciągle.

„Bardzo mi bliską jesteś dziewczę — jak ci na imię?“

„Fela“.

„Szczęściem więc jesteś... — o gdybyś mi chwilę szczęścia dać mogła“.

„O jak pragnę być ci całym szczęściem... i tylko tobie...“

— Ręce ich nerwowo się uściśniły.

„Wydźmy z kawiarni“.

„Wiesz, czuję w sobie taką wielką radość szeptała.

— Oczy jej błyszczały.

— Szli przez ulicę do siebie przytuleni.

„Dokąd idziemy?“ spytała.

„Do mnie“.

— Dziewczyna zatrząsa się — lecz nic nie odpowiedziała.

— Mały kawalerski pokój.

Sprząty stare, niezbędne. Na biurku stosy zapisanych świstków. Na półkach porozstawiane piękne drobnostki. Na półkach porozstawiane piękne drobnostki. Na ścianach porozwieszane podobizny wielkich mistrzów. W kącie popiersie Słowackiego.

— Jednym rzutem oka objęła cały pokój.

— Usiadła na otomanie. Z wielkim wysiłkiem starała się ukryć straszną twogę. — Coś ją dławilo — chciała krzyczeć... uciec — lecz czuła się zupełnie bezsilną. Serce jej biło jak młotem, a w duszy jedna pieśń: „Janek — Janek“...

— Usiadł koło niej.
 „Dzieciaku mój“ szeptał.
 — Ona ujęła konwulsyjne jego rękę.
 — Pieściła ją lekko — potem prędko się nachyliła i gorąco ją ucałowała.
 „Felo“ — krzyknął.
 — Przyciągnął ją do siebie — wpił się w jej usta.
 — Fela staniała się niby w omdleniu.
 „Nie mów — nic nie mów“ — prosiła.
 — Całował jej usta, oczy, czoło.
 — Jednym nerwowym ruchem rozpiął jej bluskę.
 „Nie Janku — nie“ — szeptała.
 — Lecz on stracił zupełnie świadomość chwili. — Nie panował więcej nad sobą.
 — Fela ucichła zupełnie. Tylko jej biała pierś nadmiernie falowała...
 Z tej piersi wydobył się cichy, płaczliwy jęk.
 — I spoił się w jednym długim, szaleńczym pocałunku.
 — W pokoju drżał jęk.
 Kwiaty w doniczce więdły.

— Zbudzili się.
 — On spojrzał na nią z uśmiechem sytego zwierzęcia.
 — Jej wzrok był pełen świętego uwielbienia.
 „Kocham — kocham — kocham“ szeptały jej rozkoszą drgające usta.
 — W oczach łzy bólu, rozkoszy i wstydu.
 — „Trzeba wstać“ — mówił obojętnie.
 Ubierając się, nucił elegię Goetego:
 „Lass dich Geliebte nicht reün, dass du mir so schnell dich ergeben...“
 „Kochasz mnie?“ zapytała Fela trwożnie.
 „O tak... jesteś ładna... namiętua...“
 — Czy to ten sam człowiek... żadna szczerza nuta nie brzmiała ze słów jego... Był jej taki daleki.
 „Wiesz — rzekła cicho — zapewne się już nigdy nie zobaczymy — a były to cudne chwile — daj mi na pamiątkę jaką drobnostkę — kwiatek...“
 „Pamiątki chcesz?“ zapytał ironicznie...
 — Zwrócił się do biurka, wziął maleńki rewolwer i z ironicznym uśmiechem podał go Feli.
 „Weź to — przyda ci się w życiu — jeśli cię kochanek opuści“.
 — Zatrzęsała się dziewczyna.
 — Czy ten wstrętny cynik, to ten sam człowiek, który przed kilku godzinami miał taki cudowny smutek w oczach i słowach?
 — Jemu oddała się z całą wiarą.
 — Ręką zakryła twarz.
 — Nie, tego widowiska mu oszczędzę. Nie będę płakać.
 „Ach, jakiś ty podły“ — wyrzekła z trudem.
 „Ha — ha — ha“ — śmiał się ironicznie.
 — Nagle napięła kurek i jednym celnym strzałem powaliła Janka na ziemię.
 Tak szybko się to stało, iż leżał już martwy, a uśmiech ironiczny jeszcze wykrzywił mu usta.
 „To twoja nagroda — za odchylenie maski“ szeptała wpatrując się ze wstrętem w trupa.
 — Szybko ubrała się — wzięła misterny rewolwer i wyszła na ulicę.

DUSZCZAK WŁODZIMIERZ.

Wspomnienia z pobytu w Argentynie.

(Szkic z podróży).

Po bardzo długiej, bo trzydziestodniowej podróży morskiej, zawijamy szczęśliwie do portu stołecznego miasta Republiki Argentyny Buenos Aires. Tu zaraz zjawia się policja emigracyjna, która przeglądała paszporty i dokumenty

wychodźców, pytając się każdego, czy chce zamieszkać tymczasowo w domu emigracyjnym na koszt rządu czy też na swój własny w hotelu. Przyszła kolej na mnie, i oczywiście powiedziałem, że chcę zamieszkać na koszt rządu. Przybito pieczęć na moim dokumencie, upoważniającą do wstępu do „Emigracji“, jak tam powszechnie schronisko to nazywają. Przed wchodzeniem drzwiami gmachu, który zbudowany jest jak dworzec kolejowy, oczekiwały trzy wozy samochodowe przeznaczone do zabrania pakunków wychodźców, którzy mają zamieszkać w „Emigracji“. Nas zaś piechotą zaprowadził jeden z agentów do tego domu emigracyjnego. W piętnaście minut byliśmy na miejscu. Tu widok, jaki się nam przedstawił, byłby mógł odstraszyć nie tylko człowieka, ale nawet psa. Kolosalna drewniana rudera dwupiętrowa wznosiła się przed nami, zbudowana w kształcie cyrku okrągło; szyby powybijane, zgniłe deski w ścianach — jednym słowem obraz nędzy i rozpaczy! Wprowadzono nas do wnętrza, gdzie na ogromnym dziedzińcu czekaliśmy chwilę, aż przyszedł jeden z urzędników, który władał niemal wszystkimi językami, bo byli między nami polacy, rosjanie, Niemcy, Turcy, Bułgarzy i t. d. a on z każdym się rozmówił. Ten też oglądał nasze stampilje z Komisji Emigracyjnej, wydając tym, którzy mieli takowe, bilety na nocleg i wikt. Tu się okazało, że wielu wychodźców nie otrzymało takowej, wobec tego nie mogli przebywać w „Emigracji“. Ze wszystkich stron podniósł się lament i narzekanie tych biedaków, którzy tu przybyli bez grosza i jeszcze ich wypędzają z tej „Emigracji“, gdzie mieliby chociaż dach nad głową na parę dni. A byli i tacy, którzy przyjechali z żonami i dziećmi.

Tymczasem ów urzędnik, załatwiwszy się z innymi, zapytuje się mnie, czy mam jakiś adres tu w Ameryce do kogo, a kiedy dałem odpowiedź przeczącą, wtedy oświadczył mi, że dziś o ósmej wieczór pojedę do miasta Cordoby, gdzie potrzeba dużo robotników i tam dostaną robotę odpowiednią jako stolarz, wraz z kolegą z którym wyjechałem z Krakowa. Zgodziłem się na to i wpisano mnie na listę (Carpintero Cordoba). Ale tego dnia już było zapóźno jechać, musieliśmy czekać do jutra. Tymczasem zadzwoniono na kolację, składającą się z zupy i kawałka chleba białego (gdyż czarny prawie nieznany w Argentynie). Po spożyciu jej udaliśmy się zaraz do „apartamentów“ przeznaczonych na nocleg dla wychodźców. Straszna ta noc była dla nas: w stacjach o powybijanych oknach i połamanych drzwiach, na gołych pryzkach, bez żadnych sienników i przykryć, trudno było wytrzymać w noc zimową. Chociaż tam nie taka zima jak u nas, bo tu śniegu prawie nie znają, ale o ile w dzień upały są ogromne, o tyle w nocy jest zimno, tak dalece, że zamiast wypocząć trochę, musieliśmy gonić całą noc z drugiego piętra na dół i z powrotem, ażeby się trochę rozgrzać.

Kiedy wreszcie dzień już nastał, spożyliśmy trochę ciepłej wody zwanej kawą i wyszliśmy do miasta, przylgnąć mu się trochę i zakupić prowiantów na drogę do Cordoby. Wieczorem o ósmej zaprowadził nas agent na dworzec kolejowy. W dziesięć minut później mknął z nami pociąg w głąb stepu Pampasu do Cordoby.

Widok, jaki nam się nazajutrz rano przedstawiał z okien, był dla nas zupełnie nowym. Równina jak okiem sięgnąć, nigdzie nie ujrysz góry ni lasy, nigdzie miasta ani wsi nie napotkasz, jeno goły step ze zeszlęmi łądkami, gdzie-niegdzie mała drzewina karłowata, a o człowieku to ani mowy niema. Natomiast pełno bydła, wszędzie konie, krowy, woły, a wszystko to z opuszczonymi łbami z powodu braku paszy i wody. Po drodze obserwowaliśmy prawie co sto, dwieście kroków jakąś padlinę: tu konia dopiero co zdechłego, tam krowę napół już zgniłą lub zeżartą przez czerwone wilki stepowe, albo też już sam szkielet bielejący zdala z kośćmi sterczącymi do góry, jak gdyby wołał o pomoc.

Tak wygląda step Pampasu w zimie.

Około godziny dziewiątej rano przyjechaliśmy do Rosarjo, miasta jednego z główniejszych miast w Argentynie i tu musieliśmy się przesiadać, i dopiero o 6-ej jeszcze wieczór zajęchaliśmy do miasta Cordoby równocześnie z nastaniem nocy. Co tu czynić, gdzie się teraz udać? Noc ciemna, nikogo znajomego, w kieszeni pusto!

Przypadkiem dopiero jacyś rosyjscy emigranci zapro-

wadzili nas do „Emigracji”, jeszcze gorszej nory jak w Buenos-Aires. Tu musieliśmy znów spać na gołej ziemi, ale przynajmniej pod dachem.

Nazajutrz rano przychodzi do nas zarządca tej „Emigracji”; hiszpan, nie znający innego języka.

— Este Carpinteiro? (jesteście stolarze?) — zapytał.

— Si senior (tak panie) — odpowiedziałem.

Dalej nasza rozmowa okazała się niemożliwą, gdyż go nic więcej rozumieć nie mogłem.

Co on widząc, odszedł i wrócił w towarzystwie jakiegoś żyda rosyjskiego, z którym z biedą dopiero żargonem żydowskim trochę się porozumiałem.

Dowiedzieliśmy się tedy, że jeden Patron (przedsiębiorca) z campy (folwark w stepie) potrzebuje dobrych stolarzy, z płacą sześćdziesiąt pesu (120 koron) miesięcznie, wikt i mieszkanie; jeżeli się na to zgodzimy, to popołudniu nas zabierze. Rzecz naturalna, że przystaliśmy z wielką ochotą na taką propozycję.

Późnym wieczorem zgłosił się po nas jakiś furman z wozem o dwóch kołach, ażeby nas zabrać na „campę”. Była już dobra noc kiedy przyjechaliśmy do tego folwarku. Wprowadzono nas do kolosalnej szopy i capatas (zarządca) oznajmił nam, że tu będziemy mieszkać. A tam już tyle ludzi spało, że dla nas prawie miejsca nie było; wtedy ów capatas kopnięciem nogi obudził dwóch czy trzech najbliższych śpiących i kazał się im usunąć, ażeby zrobić miejsce dla nas. Wszyscy oczywiście śpią na ziemi, na troszce rozrzuconej słomy. Myśmy byli już tak wyczerpani, że nie zważając na nic rzuciliśmy się na tę słomę, którą wszy formalnie ruszali, i usnęliśmy kamieniem.

Po mniej więcej dwugodzinnym śnie przebudziłem się, gdyż czułem dziwny zamęt w głowie i silne miałem pragnienie. Byłem chory, gorączka mnie trawiła. Tak przeleżałem do rana bez snu. Rano o brzasku ozwał się przeraźliwym głosem dzwon i odrazu wszyscy już byli na nogach. Po chwili każdy spieszył ze szalką do kuchni po śniadanie, składające się z kawy czarnej, a właściwie ciepłej wody, brudnej i dwóch kukietek białego chleba. W kwadrans później cała masa tych białych niewolników z łopatami i widłami podążała w pole do pracy. Nam też wyznaczono pracę i kazano nam wozy połamane naprawiać. Zabraliśmy się do tej pracy, ale nie szło to jak się należy, gdyż ja byłem osłabiony, a kolega też nie na bardzo zdrowego wyglądał, i już około godziny dziesiątej upadaliśmy prawie z nóg z wyczerpania, do czego się bardzo przyczynił straszny upał tamtejszy i wiatr stepowy. I tu dopiero w tej szopie, pod dachem blaszanym, gdzie nam wyznaczono miejsce do pracy, poznałem całą potęgę słońca południowego: prażyło tak, że tchu brakowało człowiekowi, a wiatr zdawało się, że gorącą wodą pryska. I tak zaledwie wytrzymaliśmy do południa, kiedy dano sygnał na obiad, znów się powtórzyła ta cała procesja ze szalkami do kuchni, gdzie każdy otrzymał rosół z makaronem włoskim, kawałek mięsa i dwie kukietki, a później po kwaterce wina, kwaśnego jak ocet. Potem oświadczył Patron, że dziś po południu nikt robić nie będzie, bo jest „grande Fiesta” (święto).

Kiedy wieczorem wszyscy zebraliśmy się w naszej szopie, dopiero mogłem się przyglądać swym współlokatorom. Była tam przeważna liczba rosyjskich chłopów, kilku włochoń i czterech murzynów. A każda gromadka trzymała się osobno od innych.

— Wyście już tu dawno? — zapytałem jednego kacza obok mnie siedzącego.

— Dwa hody — odpowiedział i splunął tytoń, który gryzł w ustach.

— Tak. A dużo pieniędzy już macie za ten czas uskładanych?

— Ot posłało się już siedemdziesiąt rubli, ta i tyle. Doma została żona i dwoje dzieci, a człowiek tu się poniewiera.

Rzeczywiście nie wesoło tu żyć chłopu, gdyż jeść mu dają jak najgorzej, śpi jak pies, robi jak wół. Płacą mu na takiej campie od czterdziestu pesu do czterdziestu pięciu miesięcznie, z tego musi dodać do wiktów około dwudziestu pesu, boby umarł z głodu, a resztę co mu zostanie, to zazwyczaj przepije.

Na drugi dzień oświadczyłem patronowi, że więcej u

niego pracować nie mogę, gdyż czułem się bardzo chory, a w mieście prędzej można wytrzymać, gdyż pracuje się tylko osiem do dziewięciu godzin i więcej chłodu można znaleźć. Około godziny ósmej rano byłem w powrocie do miasta, słońce paliło niemiłosiernie, zdało mi się, że w piecu piekarskim się znajduję, a przytem byłem tak chory, że zdawało mi się, że już nie zobaczę twarzy ludzkiej. Pot kropłisty spływał ze mnie, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Usiąść i spocząć bałem się, gdyż wiedziałem, że kiedy się człowiek podda chorobie, wtedy ona przychodzi jeszcze gwałtowniej. A biada temu, kto zostanie zwałony z nóg w takim pustkowiu, pod straszniemi promieniami słońca, gdzie żywej istoty nie ujrzyysz, chyba dzikiego zwierza lub węża. I tak wlokłem się z trudem przed siebie, nie wiedząc gdzie i kiedy dojdę. Step szeroki, gościńca wcale nie ma, kierowałem się jedynie podług słońca. A kiedy słońce stanęło prostopadłe nad głową, upał się wzmógł tyle, że musiałem sięść pod pierwszym drzewem, które napotkałem.

Teraz dopiero spostrzegłem, że zbłądziłem, gdyż szedłem już około czterech godzin, a droga z tej campy do miasta wynosi zaledwie dwie godziny. Nie wiedziałem, co mam czynić, w którą stronę się udać. Postanowiłem zwrócić się na zachód, gdyż to najwięcej odpowiadało mojemu obliczeniu. I pomimo osłabienia i upału ruszyłem zaraz w drogę, obawa dodała mi sił. Szedłem znów około dwóch godzin, aż spotkałem jakiegoś jeźdźcę, który mi objaśnił, że do miasta Cordoba muszę się zwrócić ku południowi, a za sześć lub siedem godzin dojdę do celu. Poczęstowawszy mię chrapą t. j. wódką amerykańską i kawałkiem suszonej ryby, odjechał. Ja zaś udałem się we wskazanym kierunku i szedłem czas jakiś, aż dowlokłem się do małego lasku, gdzie na szczęście znalazłem źródło. Ugasiwszy pragnienie, postanowiłem tu trochę wypocząć, gdyż gorączka osłabiła mnie bardzo. Po chwili usnąłem na swym tłumoczku. Jak długo spałem nie wiem, ale kiedy się obudziłem była ciemna noc, a członki zeszytywniały mi od zimna. Chciałem rozpalić ogień, ale zaniechałem tego zamiaru w obawie spowodowania jakich nieproszonych gości, więc po ciemku przesiadłem do rana.

Z pierwszym promieniem słońca powlokłem się dalej, co chwila spoczywając, aż wreszcie około godz. 4 po połud. dowlokłem się do miasta. Byłem strasznie wyczerpanym. Wstąpiwszy do pierwszej napotkanej fondy (restauracji) i posiliwszy się nieco, rozmyślałem co czynić dalej, gdzie się udać. Tysiące projektów przeszło mi przez głowę, ale każdy, jak zwyczajnie w takim wypadku, okazał się nieodpowiednim. W końcu postanowiłem wyjść na miasto i do każdej napotkanej pracowni wstąpić, pytając się o pracę. Tak też zrobiłem. W kilku pracowniach odprawiono mię z kwitkiem, z powodu, że nie miałem własnych narzędzi, gdyż tu jest zwyczajem, że trzeba mieć swoje narzędzia pracy.

Dopiero traf mię zaprowadził do jednej pracowni, gdzie przyjęto mię do pracy z tem zastrzeżeniem, że w najbliższych dniach sprawię sobie narzędzia. Zaraz na drugi dzień rozpocząłem pracę, ale czułem się bardzo chorym, tak że musiałem udać się do lekarza. Nie chcę się tu długo rozpisywać, tylko nadmienię, że przez pięć tygodni pracowałem bardzo mało, a ów lekarz ciągle mi powtarzał, ażebym jak najprędzej wracał do kraju, bo tak długo nie wytrzymam. Sam to czułem dobrze, ale nie mogłem wracać, gdyż nie miałem pieniędzy na podróż powrotną. Widocznie nie było mojem przeznaczeniem umierać w Ameryce, gdyż na szczęście powietrze się zmieniło, nastał czas dżdżysty, skutkiem czego znacznie się temperatura powietrza obniżyła, a ja uczułem się zaraz zupełnie zdrowym. Pracowałem więc od świtu do nocy i zdołałem wkrótce zarobić tyle pieniędzy, że wystarczyło na podróż powrotną.

No i jakąż korzyść odniosłem z tego wszystkiego? Zbadałem stosunki, w jakich nasi wychodźcy tam żyją, i to co pisać będzie wskazówką dla niejednego, kto zamyśla w tamte strony się udać.

Dobrych rzemieślników tam potrzeba zawsze, ale tylko dobrych, bo partaczy jest tam dość. Więc dobry zdolny rzemieślnik, jeżeli nie jest próżniakiem i pijakiem, to może zebrać trochę pieniędzy. Ale musi wiedzieć najpierw czy w tamtejszym klimacie będzie mógł wytrzymać. Ale ponieważ

naprzód nie może wiedzieć, czy wytrzyma w tamtejszym klimacie, więc wobec tego nie radzę nikomu jechać.

Wyrobnicy stoją tam bardzo lichy, gdyż jest ich ogromny napływ, trudno im o pracę, a przytem są tak po bydłemu traktowani i wyzyskiwani, że tym stanowczo jazdę odradzam.

Co się tyczy robotników, to ci mogą do czegoś dojść, ale nie w Argentynie, tylko w Brazylii, i to naturalnie ci, którzy przywiozą ze sobą jakąś ilość gotówki.

Na zakończenie dodaje, że lepiej każdy robi, jeżeli mając jaki taki byt zapewniony zostanie w kraju, a nie będzie się puszczał na niepewne losy.

Rozmaitości

Ziemia jako pożywienie. Pewne rodzaje ziemi służą nie tylko za lekarstwo, lecz również za pokarm, a nawet za przysmak. Pragnienie zmiany rodzaju pokarmów wiedzie niejednokrotnie do zboczeń, a wskutek tego smakosz chiński uważa jaskółcze gniazda za niezwykle upragniony przysmak; dziewczęta cierpiące na blednicę pochłaniają pod wpływem choroby całe garście kredy lub wapna, zdrapanego z muru. Ten ostatni popęd chorobliwy zanika prawie zawsze, skoro powodująca choroba blednica czy histerja zostanie zwalczona lub wyleczona.

Zdarza się jednak, że i zdrowi całkiem ludzie, którym nie brak innych środków żywności, jedzą ziemię, a nawet czynią to z pewną przyjemnością. W niektórych okolicach Tyrolu, Stryi, Włoch północnych twierdzą wieśniacy, że są pewne rodzaje ziemi, mające doskonały smak, przytem pożywne i wzmacniające siły. W Persji jest również ziemia złożona przeważnie z pyłu wymoczków, którą smakosze miejscowi wysoko cenią. Ziemia ta znana jest pod nazwą „mąki górskiej” i tak, jak ze zwykłej mąki wypieka się z niej chleb i placuszki. Można jednak nawet wśród sfer wykształconszych znaleźć przykłady. Niektóre damy hiszpańskie i portugalskie uważają pewne gatunki ziemi, zwłaszcza ziemi z Ortomez, za przykład nader wyszukany. Wszystkim tym rzekomo „smacznym i pożywym” gatunkom ziemi nadają smak znajdujące się w nich rozmaite sole. O rzeczywistej wartości odżywczej nie można mówić.

O ile spożywana ilość ziemi jest nie zbyt wielka, nie przynosi szkody organizmowi. Żołądek i jelita dają sobie z niemi doskonale radę, a nawet spożytkowują zawarte w nich sole. W pewnych wypadkach może się nawet sprawdzać ludowe mniemanie, że spożyta ziemia oddziałuje korzystnie na trawienie.

Morderca 57 osób. Pisma carycyńskie podają ciekawe szczegóły o aresztowaniu głośnego bandyty i zabójcy, Iwana Czernowa, który w ciągu swego życia popełnił 57 zabójstw. Policja w Carycynie została zawiadomiona, że w tych dniach w Stawropolu kaukaskim został zabity w celu rabunku dymisjonowany podpułkownik Kazarow i jego żona i że zabójca udał się do Carycyna. Dzięki temu policji udało się schwycić Czernowa. Aresztowany przyznał się do zabójstwa w Stawropolu kaukaskim oficera kozackiego i jego żony. Zabójstwo to popełnił w nadziei zrabowania 50 000 rubli; przy zabitych jednak znalazł tylko 50 rubli i książeczkę czekową na 50 000 rubli: pieniądze były wniesione na dzień przed zabójstwem do banku. Czernow przyznał się do 57 zabójstw; za niektóre z tych zabójstw skazano zupełnie niewinnych ludzi. Po każdym zabójstwie zmieniał nazwisko. Czernow inaczej Boldin kilka razy w życiu zdołał zbiec z więzienia i ma nadzieję, że to mu się uda i tym razem.

Niezwykły wypadek tragiczny. Jak donoszą z Kolonii tymi dniami przechadzała się nad brzegiem Renu młoda kobieta, pchając przed sobą wózek z dwuletnim synkiem i prowadząc za rękę synka pięcioletniego. Chłopiec wyrwał się nagle matce, która, obawiając się, aby malec nie

wpadł do wody, puściła się w pogoń za zbiegiem. Tymczasem wózek, z drugim synkiem, pchnięty przez wiatr, stoczył się z wybrzeża i zniknął we falach rzeki. Zrozpaczona matka chciała rzucić się za nim do Renu, ale jej przeszkodzono.

Śmierć bohatera. W styczniu roku bieżącego, wśród walki z dżumą w Mandzurji, zmarł francuski lekarz dr. Mesny. Obecnie „Excelsior” ogłasza list, który zmarły pisał do żony na parę godzin przed śmiercią. „Ukochana moja, gdy to pismo otrzymasz, ja już żyć nie będę. Spotkamy się w lepszym świecie. Dziś rano, o godzinie 7 uczułem, że zaraza mnie dosięgła. Lekarz przybył dopiero o godz. 1 po południu. Przed odejściem w zaświaty całłem sercem myślę o tobie i o naszych dziełkach. Nic mi już nie pomoże. Śmierć przyjdzie szybko. Wiem. Miałas rację, córeczko, twój tatuś umrze. Moje interesy nieskomplikowane. (Tu następują wskazówki szczegółowe co do uregulowania sukcesji i co do praw wdowich: asekuracji na życie, emerytury wojskowej, indemnizacji chińskiej i t. d.). Myślcie o mnie. Kochajcie mnie tak, jak ja was kochałem. Do widzenia najdroższa moja, dzieci ukochane! Zobaczą was kiedyś. Nie przyjeżdżajcie tu na mój grób. Mogłabyś się zarazić. I dzieci pozostałyby zupełnie same na świecie. Nie przyjeżdżaj, błagam cię o to. Odchodzę, całując cię myślą. Pocałuj dzieci odemnie”.

Ustęp, w którym wspomina, że „jego córeczka miała rację”, dotyczy następującej okoliczności. — Gdy dr. Mesny wyjeżdżał do Tien-Tsinu, gdzie wyruszył dla spełnienia obowiązku, córeczka błagała go, by został, mówiąc ze łzami: „Tatusiu, ty jedziesz na śmierć”. Przeczucie małego serduszka sprawdziło się.

Deszcz w cyfrach. 15 000 000 ton wody deszczowej spada co sekundę na powierzchnię ziemi. W przeciągu godziny spada 53 000 milionów ton, w przeciągu jednego dnia biljon 217 000 milionów, w przeciągu roku 464 biljonów. Jeśli się jednak te olbrzymie masy wodne rozdzieli na całą powierzchnię ziemi, przeciętna ilość opadów deszczowych wyniesie tylko 91 centymetrów. Rozdział tych opadów jest jednak w rozmaitych częściach świata nader nierównomierny. Są okolice, nie znające zupełnie deszczu, podczas gdy w innych opady dochodzą skali kilkunastu metrów. Europa należy do tych części świata, w których opady nie przenoszą przeciętnie 5 m.

Banknoty chińskie. Rząd chiński zdecydował się na zbudowanie w Pekinie kosztem 10 milionów franków wielkiej, zaopatrzonej w najnowsze przyrządy drukarni, w której będzie się drukowało chińskie pieniądze papierowe. Dotychczas sposób drukowania banknotów w Chinach jest bardzo zawiły i stanowi nieprzewycięzoną przeszkodę dla obrotów handlowych. Każda prowincja posiada własne pieniądze, które nie obiegają w prowincjach innych. Już oddawna zamierzano ujednolicić system w całym państwie, lecz nie było instytucji centralnej, która mogłaby zająć się tą sprawą, więc zbudowanie nowej drukarni usunie tę trudność i będzie początkiem reformy, która dla rozwoju Chin posiada olbrzymie znaczenie. Przed dwoma laty rząd chiński powierzył dr. Chen'owi zapoznanie się z systemami drukarni papierów państwowych w Europie, w Ameryce. Chen wybrał system waszyngtoński. Drukarnia pekińska zbudowana na wzór waszyngtońskiej będzie gotowa za dwa lata, w roku 1913, zacznie funkcjonować jednocześnie z parlamentem, który również ma być otwarty w tym roku. Zaangażowano już dwóch rytowników amerykańskich, którzy będą dozorowali ustawiania maszyn i uczyli chińczyków sztuki rytowniczej.